OPIEKUN DOMOWY



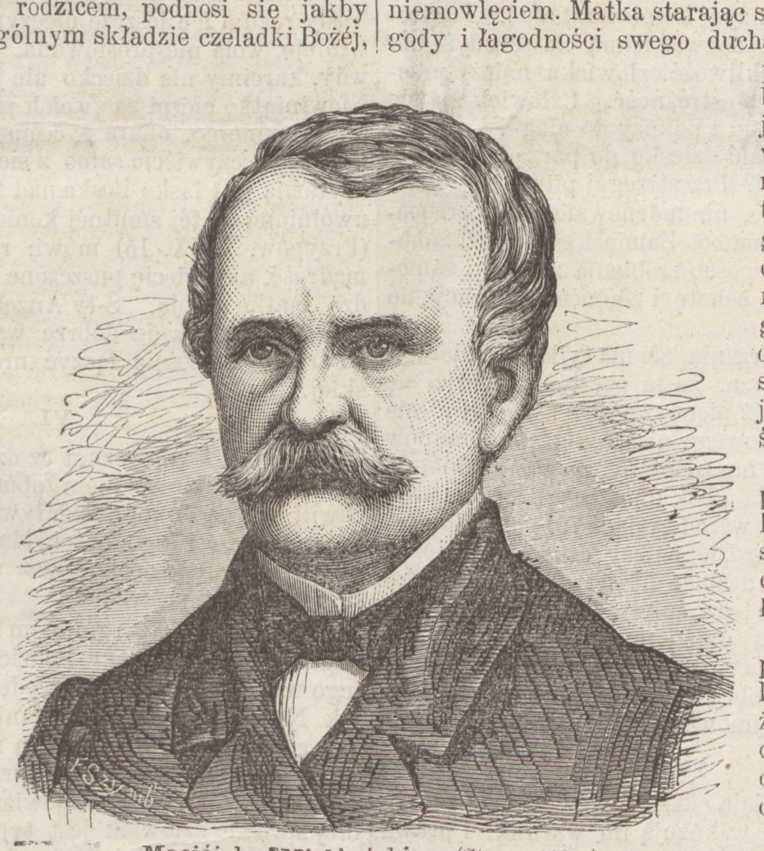
Warszawa, dnia 17 (29) Października 1870 roku.

№ 43. Cena w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop. 33¾). **Redakcja** w Warszawie przy ulicy Solnéj pod Nr. 715.—**Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, ulica Senatorska Nr. 496, i tamże urządzona jest skrzynka na listy adresowane do Redakcji. *W Poznaniu* u **Leitgebera**, we *Lwowie* u **Wilda Karola**, w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza. Rok VI.

Kilka uwag o wychowaniu dzieci.

I.

Człowiek zostając rodzicem, podnosi się jakby o szczebel wyżéj w ogólnym składzie czeladki Bożéj, jako powołany do bezpośredniego przekazywania prawa Bożego dalszym pokoleniom.



Maciej hr. Mielżyński. — (Strona 463-a).

Zrazu, człowieka prowadzą, następnie sam on siebie prowadzi, a zostając rodzicem, prowadzi drugich. Na tym ostatnim szczeblu Bóg powołuje człowieka do służby swojéj, w wielkiéj a świętéj sprawie tworzenia moralnego.

Wrodzona miłość rodzicielska, miłą nam czyni tę pracę; oparta na miłości prawdy, miłą ona jest i Bogu.

W dzieciątku nie dzieciątko, ale Boga samego miłować winniśmy.

Miłość dla istoty doskonałéj, jest miłością *uwielbienia*. Miłość dla istoty nie doskonałéj, winna być miłością *tworzenia*, miłością walki, ofiarą z siebie i z umiłowanéj istoty dla prawdy przedwiecznéj.

II.

Natura człowieka skażoną jest: przez długi czas rozum jego nieczynny, uczucia nierozwinięte, pojęcie o prawdzie nie jasne, a przez całe życie wola do złego skłonna. Człowiek jeszcze niemowlę, miewa już nieporządne skłonności. Złośliwość z niemocą często obok siebie stoją.

Moralna praca rodziców rozpoczyna się już nad niemowlęciem. Matka starając się o zachowanie pogody i łagodności swego ducha, razem z mlekiem podaje dzieciątku balsam łagodzący złe jego skłonności. Głównie atoli kieruje niem za pośrednictwem Stwórcy samego. Praca nad sobą, dobra i silna wola, modlitwa, oto są drogi, któremi sprowadza na dzieciątko łaskę Boga. On sam jest powiernikiem jéj świętych uczuć.

Uczucie matki w postaci modlitwy do Boga się wznoszące, spływa od Boga na dzieciątko w postaci łaski.

Z piersi matczynéj przyjmuje dziecię pokarm cielesny, z téjże piersi przy pomocy Bożéj wypływa dla niego pokarm duchowy.

III.

Człowiek poznaje świat najprzód przez uczucie i wyobraźnię, następnie przez rozum. Dopóki ten jest nieczynnym, nie może dzieciątko odróżnić dobrego od złego. Należy więc przed niem usuwać wszystko co złem jest i szpetnem (fałsz, przekleństwo, słowa grubijańskie, złośliwe krzyki, szpetne widoki, niekształtne figurki i rysunki, bajki o złych lu-

dziach i t. p.). Natomiast nastręczać winniśmy jego wyobraźni i uczuciom wszystko co jest dobrem i pięknem (natura, muzyka, śpiew, przykłady: miłości, litości, pracowitości etc.) (*). Natura tak jasno świeci przed nami swoim wdziękiem i swoją mądrością, a tak umiejętnie ukrywa przed nami wszystko co jest pozbawionem uroku zewnętrznego (processa trawienia, gnicia i t. d.). Tak samo a nawet jeszcze z większą ostróżnością winniśmy postępować względem naszych dzieci.

Wrażenia lat młodocianych głęboko rysują się na sercu człowieka, a że w tym wieku on nie odróżnia dobrego od złego, wrażenia mają być tylko dobre i piękne.

Dziecko skłonnem jest do naśladownictwa, zdolność ta najbardziéj służy mu do jego rozwijania się. Pomnażajmy usiłowania, iżby dzieciątku we wszystkiem dać z siebie dobry przykład.

Chcesz żeby dziecko prawdę mówiło? Mów jemu zawsze prawdę. Stosując się do pojęcia dziecka, forma mowy może być czasem zmyśloną, ale treść jéj winna być zawsze prawdziwą.

Chcesz iżby mowa jego była czystą i dźwięczną? przemawiaj do niego wyraźnie i śpiewnie.

Chcesz w dziecku obudzić uczucie litości dla nędzy i czci należnéj dla wieku? Dawaj mu w tem żywy z siebie przykład, nie strasz go nigdy tem, do czego człowiek winien mieć dobre usposobienie (dziad, baba, żebrak, żyd, kominiarz, etc.). Pożytecznie jest w dziecku usuwać samą nawet myśl bojaźni. Wrodzoną lękliwość człowieka należy przekształcać w rozumną ostróżność. Człowiek ma się tylko obawiać grzechu i pokusy do niego.

Chcesz przyzwyczaić dziecko do porządku, ochędóctwa, oszczędności? Przestrzegaj pilnie iżby dziecko nic nie niszczyło, nie marnowało, nie rozrzucało, co może się zdać na co. Zamiast gotowych zabawek, lepiéj mu dać sposób zrobienia zabawki samemu, wywołać w nim ochotę i zdolność do pracy, do tworzenia.

Dobro ma siłę tworzenia, złe ma tylko siłę niszczenia. Często się zdarza, że ta ostatnia szybciéj się w dziecku rozwija niż pierwsza. Przestrzegaj pilnie dzieciątko od bezcelowego niszczenia przedmiotów otaczających. Pokaż mu zdeptany, zerwany kwiatek, jak smutnie wygląda obok unoszącego się na swéj zieleni, woniejącego wśród tysiąca innych sobie podobnych. Ale najbardziéj należy czuwać nad obudzeniem w dziecku uczucia litości dla wszystkiego co żyje. Zaniedbanie tego, sprowadziło nieraz bardzo smutne następstwa. Wiadomo że prawie wszyscy ludzie okrutni, w dzieciństwie już odznaczali się złością. Poczynając od obrywania skrzydełek muszkom, kończyli oni na zdejmowaniu głów ludzkich.

IV.

Rodzice zaszczepiają dzieciom pierwsze zasady wiary i moralności, wskazują im warunki i prawa życia. Dzieci, pierwéj nim rozumem pojmą i doświadczeniem sprawdzą, muszą te prawdy w życie przeprowadzać; winne są zatem rodzicom swoim zupełne posłuszeństwo.

Słowo rodzicielskie ma mieć dla dzieci nie tylko powagę ale nawet urok pewnéj świętości. Zupełnie to prawie od rodziców zależy.

Zdolniejsze dzieci często domagają się wytłómaczenia im tego, czego jeszcze nie mogą pojąć. Pytanie dla czego, znamionujące rozumną istotę, rodzi się często za poduszczeniem złéj woli.

Obok ślepego prawie posłuszeństwa dla rodziców, należy się w dzieciach rozwijać nałóg do dobrego. Człowiek z natury jest istotą nałogową. Dobro w dzieciństwie nie może być dość mocno poczute i pojęte; należy się więc ażeby człowiek pierwéj nim przyjdzie do rozumu dojrzałego, czynił dobrze przez praktykę, przez nałóg. Z tego nawet względu należy się usprawiedliwiać obowiązkowe dla dzieci praktyki religijne, których znaczenie tylko zupełnie rozwinięty i dojrzały rozum pojmuje.

V.

Każde stworzenie posłusznem jest głosowi natury, który jest prawem Bożem. Człowiek tylko wyłamuje się z pod tego prawa. Upada też często niżéj najpośledniejszego stworzenia.

Każde stworzenie można środkami łagodnemi zniewolić do wypełniania swojego przeznaczenia. Na człowieka tylko często wypada w tym celu używać środków gwałtownych. Tem się tłómaczy smutna konieczność karcenia rózgą dziatek, w wieku kiedy rozum ich jeszcze nieczynny, uczucie nierozwinięte, wola niesprostowana. W imię miłości prawdy, karcimy nie dziecko ale jego skażoną naturę. Niewiniątko cierpi za swoich przodków. Jest to zadośćuczynienie, ofiara być musi niewinna; dzieciątko też rzeczywiście samo z siebie niewinnem jest. Wyraźną jest łaska Boska nad tą rodziną, która jest uwolnioną od téj smutnéj konieczności. Pismo Ś-te (Przypow. XXIX, 15) mówi: rózga i karanie daje mądrość, ale dziecię puszczone na swą wolę zawstydza matkę swoją. Ś-ty Anzelm powiada: „Jeżeli chcesz dzieci swoje dobrze wychować, powinieneś z surową karnością łączyć urok miłości rodzicielskiéj.“

VI.

Od chwili kiedy rozum w dziecku staje się czynnym, kiedy się w niem obudziło uczucie, od téj chwili jedyną drogą oddziaływania na dziecko, jest droga miłości i łagodności. Matka dla dziecka umiłowała prawdę, dziecko przez miłość dla matki, posłusznem jest prawdzie.

Dzieci rodzą się z rozmaitem usposobieniem, uzdolnieniem i charakterem. Rodzice też bywają rozmaitego uzdolnienia pod względem wychowania dziatek. Nastręcza się zatem pytanie, czy przy najszczerszéj chęci, rodzice w każdym razie mogą odpowiedzieć swojemu powołaniu przewodniczenia swym dziatkom? Stanowczo odpowiadamy: mogą. W dobréj sprawie człowiek jest tylko posłanniczem narzędziem opatrzności. Maluczki wiele dobrego może zrobić, jeżeli jest w stanie łaski, jeżeli Bóg przez niego działa.

Miarą miłości naszéj dla dzieci jest udoskonalenie samych siebie. Usilną pracą moralną nad sobą, gorące uczucie litości dla bliźniego, szczególnie troskliwość o jego uzacnienie, modlitwa; o to są środki usposabiające rodziców na dobrych przewodników dla swoich dziatek.

(*) Wykształcenie smaku wiele się przyczynia do podtrzymania moralności. W epoce życia, kiedy zasady religijne i moralne nie są dość mocno ugruntowane, wyrobienie smaku dobra i piękna, może nas powstrzymywać od upadku. Grzech nietylko jest złym ale i szpetnym. (*Przypisek autora*).

Historja uczy nas, że prawie wszyscy znakomici ludzie, odznaczający się pięknym charakterem, wychowali się pod troskliwym dozorem dzielnych ich matek.

Ś-ta Blanka często zwykła powtarzać: wolę ja dziecię postradać, niż żeby ono dorosłszy miało postradać królestwo niebieskie. Przez miłość dla swojego syna Ludwika, macierzyńską czułością otaczała i cudze potrzebujące opieki dziatki. Bóg pobłogosławił jéj poczciwym chęciom: syn jéj będąc królem Francji tak świętobliwe życie prowadził, że zaliczony jest w poczet świętych.

Matka Ś-go Augustyna Ś-ta Monika, jedynie gorącą modlitwą wybłagała u Boga nawrócenie się swojego syna, który z rozwiązłego pogańskiego filozofa stał się chrześcijaninem, biskupem, Ojcem kościoła, świętym.

O rodzicach Ś-go Wojciecha piszą: „Sławnicz (ojciec jego) w pośród rozkoszy świata był wiernym stróżem prawa boskiego, pilnie chowający rozkazy kapłańskie, przyjemny całemu ludowi Czeskiemu, a osobliwie był ojcem ubogich. Strzeżysława (matka Wojciecha) także świętą była w obyczajach, świętą w rozmowach, mocną w postach, poufałą z Bogiem na modlitwie, matką skwierczących sierot, pielgrzymów i wdów najmilszą siostrą.“ (Jaroszewicz Matka Ś-ych Polsk. 262 — 267).

Piękny wzór nam przedstawia matka siedmiu braci machabejskich. Ś-ty Ambroży mówi o niéj: „Macierzyńska jéj mądrość frasowała się więcéj o to, aby synom swoim wyjednać życie wieczne, niżeli zachować doczesne.“

Najtroskliwsze wychowanie dali Zacharjasz i Elżbieta synowi swemu Janowi (Chrzcicielowi); Joachim i Anna córce swojéj Najświętszéj Marji Pannie. Piękny przykład pobożnéj miłości macierzyńskiéj podały te niewiasty, które raz wieczorem przywiodły swoje dziatki do Jezusa, aby je błogosławił. Prowadźmy też dziatki nasze do Jezusa, opowiadajmy im święty jego żywot i mękę za nas.

Dla zbawienia duszy człowieka Ojciec Niebieski dopuścił, iżby niewinna krew Syna Jego była przelaną. Matko! Pożałujeszże winnéj krwi (wygód ciała) syna twojego dla zbawienia jego własnéj duszy.

Miłujmy tedy dzieciątka nasze w Bogu i prawdzie, zgromadzajmy dla nich przedewszystkiem skarby duchowe. Opiekujmy się opuszczonemi cudzemi dziatkami. — Pracujmy nad sobą. — Módlmy się: *Boże daj, iżby dzieciątka nasze rosły Tobie na chwałę, światu na pożytek, sobie i nam na zasługę.*

Feliks.

CZEMU PŁACZĘ?

(„Flebile nescio quid“).

Czemu łzami wciąż mi oczy,
A boleścią pierś zalana?
Ach, czy smutek to proroczy,
Czy też dawna boli rana?
Gdy się zorzą świt uśmiecha
I nadzieję z sobą niesie,
Jak grób ciemna moja strzecha—
I na wieki usnąć chce się!
Gdy, ptaszęta w chór zadzwonią—
I świat krząta się wesoło,
Ja pierś cisnę drżącą dłonią—
I pod troską zwieszam czoło...
Kiedy raźna młódź dokoła
Z piosnką życia mię otoczy,—
To mię trwoży pieśń wesoła,
I iskrzący wzrok ochoczy...
Gdy sen ziemię ukołysze,
Dłonią marzeń cierń rozplata,
Ja, przeklinam nocną ciszę,
Bom ja Prokust pośród świata!...
I przecudny świat mi Boży
Stał się puszczą!.. Ten, ów zcicha
Dziwne baje o mnie tworzy,
Pyta: „boleść to, czy pycha?“..
I od ludzi odbieżany,
Pośród świata, sam, bez skargi,—
Wciąż utulam serca rany
I zaciskam bolem wargi...

Klemens Podwysocki.

Maciej hr. Mielżyński.

Na początku bieżącego roku, a mianowicie dnia 15 Marca, złożono w grobowcu rodzinnym w Woźnikach, zwłoki ś. p. Macieja hr. Mielżyńskiego, człowieka powszechnie znanego, szanowanego i kochanego od tych wszystkich, którzy mieli sposobność w bliższych z nim pozostawać stosunkach. Od lat pięćdziesięciu cała społeczność nasza, bez różnicy przekonań, ceniła w nim wysoko wzór zacnego obywatela, który tak w publicznych jak i prywatnych okolicznościach, swoją radą i natchnieniem, zwracał na siebie wzrok ogółu. W każdem ważniejszem jakiemś przedsięwzięciu, gdzie potrzeba było rady i czynu, występowała zawsze, między najpierwszymi przodownikami, posągowa postać Macieja Mielżyńskiego, będąca dla wielu rękojmią i zakładem prawości i zbawienności dzieła. To szczytne stanowisko w społeczeństwie, które sobie jeszcze w młodości wywalczył, zawdzięczał nie tyle urodzeniu i majątkowi, ile wytrwałéj i sumiennéj pracy około publicznego dobra, wzniosłości uczuć i charakterowi niezwykłego hartu.

Maciej hr. Mielżyński urodził się dnia 14 Września 1790 roku w Winnogórze pod Miłosławiem, w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, z Józefa i Franciszki z Niemojowskich. Odebrawszy początkowo staranne domowe wychowanie, następnie w Berlinie pod okiem rodziców ukończył gimnazjum francuzkie, a dla uzupełnienia nauki uczęszczał jeszcze przez jakiś czas na rozmaite wykłady uniwersyteckie. Zawód obywatelski rozpoczął w bardzo młodym wieku. Ożeniwszy się w roku 1820 ze stryjeczną i cioteczną siostrą swoją Konstancją Mielżyńską, osiadł na wsi i zajął się zarządem obszernego majątku.

Te lat kilka pierwszéj młodości, spędzone po większéj części w zaciszu wiejskiem obok uwielbianéj małżonki, należały bez wątpienia do najszczęśliwszych jego życia. W żonie znalazł był rzadki skarb, którego strata w późniejszym wieku pozostawiła w duszy jego tak głębokie ślady smutku i żalu, iż długi szereg lat i rozliczne koleje wypadków, zatrzeć ich nigdy nie zdołały. Jednakowoż wśród najszczęśliwszego małżeńskiego pożycia i zabiegów około gospodarstwa, nie przepomniał on nigdy o dobru ogólnem. Owszem, przez całe życie był on czynnym pracownikiem i doradcą w tem

wszystkiem, co tylko odnosiło się do pomyślności i dobrobytu kraju.

Jako właściciel znacznego majątku ziemskiego, znalazł się z góry w tem szczęśliwem położeniu, iż pracując w interesie własnym i rodziny swojéj, mógł pracować zarazem i dla całéj społeczności. Był on tego zdania, że każdy poczciwy obywatel, nie tylko nie powinien zbywać odziedziczonego po ojcach kawałka ziemi, ale powiększyć go ile możności, ulepszyć, udoskonalić i tym sposobem przyczynić się do wzrostu publicznego bogactwa. Dla tego też z całą energją i sprężystością zajął się podniesieniem gospodarstwa w swoich dobrach, a kierując się pod tym względem niepospolitą praktycznością rozumu, gruntownemi wiadomościami, doprowadził w kilku latach włości swoje do stanu kwitnącego. Nie ograniczając się na jednéj specjalności, zwracał uwagę zarówno na wszystkie gałęzie gospodarstwa; stan roli, łąki, hodowanie lasów, inwentarze, budynki, narzędzia, wszystko to doprowadzone zostało do możebnéj doskonałości, wszystko to było odpowiedniem postępom teorji agronomicznych i właściwości naszéj ziemi. Niedziw przeto że do Chobienic przybywali starzy i młodzi aby gospodarstwo oglądać, nauczyć się i zastósować u siebie, coby się dało. Urządził nawet w dobrach swoich pewien rodzaj praktycznéj szkoły, w której dość znaczna liczba młodych ludzi wykształciwszy się, rozniosła na rozmaite strony gruntowniejsze wyobrażenia o gospodarstwie. Nad materjalnemi i moralnemi potrzebami oficjalistów swoich czuwał z największą troskliwością i nie szczędził pod tym względem ofiar, tak, żeby ich wykształcenie uzupełnić, jako też, aby ich byt zabezpieczyć i ulepszyć. W tym celu założył u siebie *Towarzystwo emerytalne.* To też mało było panów w W. Ks. Poznańskiem, którzy mieli dobór tak uczciwych, zdolnych i czynnych urzędników i podwładnych, jak Maciéj Mielżyński, którego obchodzenie się z nimi nigdy w niczem nie ubliżało ich honorowi i uczuciu godności. Lud wiejski szczerze był do niego przywiązany, a założona szkoła Chobienicka, świetne w rezultatach przynosiła owoce, bo światły dziedzic nie szczędził ofiar ani na potrzebne książki, ani na przyrządy szkolne i nagrody.

Nie dość na tem. Po roku 1836 Mielżyński wspólnie z Karolem Marcinkowskim powzięli myśl podniesienia upadłego stanu mieszczańskiego, przez stworzenie handlu i przemysłu swojskiego, który dotychczas znajdował się tylko w rękach żydów i niemców. W tym celu, nie szczędząc własnych funduszów i wzywając do współudziału znajomych i przyjaciół, zaczęli wyszukiwać młodzież zdolną do tego rodzaju zawodów, wysyłać ją na naukę do szkół specjalnych, handlów i warsztatów—wspierać pożyczkami lub datkami na zakładanie składów, a niezadługo, aby przedsięwzięciu obszerniejsze nadać rozmiary, wprowadzili w życie *Towarzystwo Naukowéj Pomocy*, które miało przysposabiać i dostarczać ludzi pracujących w rozmaitych zawodach naukowych i praktycznych. Prócz tego wybudowali *Bazar*, który miał być ogniskiem i przytułkiem handlu i przemysłu. I jedno i drugie rozwija się po dziś dzień jak najpomyślniéj.



Kozak teorbanista. — (Strona 465-a).

Po roku 1846 osiadłszy na czas jakiś w Poznaniu, nie przestał działać w raz obranym kierunku, wspierał hojnie chcących się uczyć i chcących coś pożytecznego rozpocząć; objął opiekę nad Bazarem, a wybrany po śmierci Marcinkowskiego na przewodniczącego Dyrekcji Towarzystwa Naukowéj Pomocy, wytrwał na tem zaszczytnem stanowisku lat 22, aż do śmierci swojéj, otaczając Towarzystwo szczególną pieczołowitością, jako zakład, który uważał za najzbawienniejszy dla publicznego dobra, i przyczynił się radą i wpływem swoim nie mało do jego ustalenia i wzrostu.

Nie usuwając się nigdy od żadnéj usługi, mającéj na celu pomyślność ogółu, rozdzielił nareszcie pomiędzy dzieci cały majątek, który miał w W. Księstwie i przeniósł się do dóbr Kazimierskich w Królestwie.

W Kazimierzu rozpoczął na nowo zawód gospodarski. Wszystko tu trzeba było zmienić, wszystko stworzyć, z pustkowia zrobić posiadłość, z chaosu organiczny porządek. W ciągu 10-u lat, nie tylko dokonał tego zupełnie, ale jeszcze przez zaprowadzenie ogromnych fabryk parą poruszanych, przyczynił się nie mało do ożywienia i dobrobytu całéj okolicy.

O sobie myślał najmniéj.

Żyjąc aż do zbytku skromnie, nadto może lekceważył własne zdrowie w obec obowiązków i zatrudnień i nadto ufał w wytrwałość silnego organizmu. Po dwakroć wyleczony z niebezpiecznego zapalenia płuc, trzeciego napadu téj saméj choroby przetrzymać już nie zdołał i po kilkodniowem cierpieniu, umarł dnia 15° Marca roku bieżącego.

O nim śmiało można powiedzieć że był to *człowiek.* *Franciszek Gumowski.*

KOZACY.

Wyraz *Kozak*, znaczył w dawnych czasach bohatera, dzielnego jeźdzca, a późniéj młodzieńca czyli mołojca. Dla tego też w pieśniach wołyńskich, podolskich i Rusi czerwonéj, Kozak ściąga się wyłącznie do ukraińskich, a nie innych Kozaków, ale oznacza dzielnego wojaka, bojana. W wyobrażeniu dawnych piewców ludowych, pod tą nazwą mieściła się każda młodość męzka, czerstwa, dorodna i bohaterska. Kozacy właściwi mieli swój oddzielny sposób wojowania, dla tego nasi kronikarze, przechowali wyrażenia i sposoby mówienia, dziś potrzebujące objaśnienia. I tak: Kozackie utarczki, były to bitwy niespodziane; Kozacką drogą, zwano tajemne drogi, manowce.

Pierwsze związki Kozaków odnieść należy do czasów jarzma mongolskiego. Na poetycznych stepach za dolnym Dnieprem na wschód i południe, tułały się niedobitki różnych plemion, różnych wiar i języków. Zbiegi nawet przed uciskiem lub sprawiedliwością ginęli w stepach jak kropla w morzu. Wkrótce z tych ludzi zaczął się tworzyć osad, dzikie, nieukształcone społeczeństwo, które obok cywilizacji zasiadło. Jeden taki osad tworzył się nad Donem, drugi nad Dnieprem. Ztąd Kozacy *dońscy* i *dnieprowscy* czyli *małoruscy*. Od pierwszych początek wzięli: Kozacy jaiccy przezwani później uralskimi, syberyjskimi, orenburskimi, grebieńskimi, mozdockimi, terskimi i t. p. wchodzącymi dziś do składu kaukazkiego linijowego wojska kozackiego; od drugich zaś pochodzą Kozacy zaporóżcy, dziś azowskimi i czarnomorskimi zwani. Są jeszcze oprócz tego Kozacy astrachańscy i donajscy. Zadaniem ich było osłaniać Rossję południową i Litwę od napadu Tatarów osiadłych w Krymie, którzy wybierając się po łupy do ziem chrześcjańskich, musieli omijać Don i Dniepr, szukając większego bezpieczeństwa, kiedy Kozacy chrześcjanie mieli sobie za chlubę walczyć z barbarzyńcami. Wojna ich wkrótce przybrała znamiona krzyżowego boju. Kozacy ci w początkach zrobiwszy ślub nieustannego bojowania z niewiernymi, byli prawie zupełnie niezależnymi od nikogo. Bez oznak średniowiecznych, był to prawdziwy zakon rycerski. W czasach pokoju trudnili się handlem na brzegach morza Czarnego. Kozak, musiał to być człowiek wolny, nie żonaty, nie włościanin osiadły na roli, ale włóczęga szukający zarobku i przygód. Jedni z nich płynęli Dnieprem na południe, drudzy na północ i zjeżdżali się wszyscy najczęściéj w Kijowie. Z akt dawnych dowiadujemy się, że Kozacy z północy za Kijów płynęli, aby zdobywać towary, przywozić ryby i sprzedawać je. Mieszczanie lubili ich towarzystwo, lecz byli to swawolnicy lubiący nieprzyzwoite zabawy z kobietami. Z tych wolno włóczących się i bez stałego zatrudnienia ludzi nad Dnieprem, pierwszy Ostap Daszkiewicz w XVI wieku zaczął formować stałą straż pograniczną. Tatarzy obawiali się go jak ognia, bo kozacy często pod jego przewodnictwem stawali nagle i niespodzianie pod ułusami krymskimi, bijąc ich strasznie i zabierając bogate łupy. Wyprawy takie w owych czasach były bardzo zwyczajne i nikt się im też nie dziwił ani przeszkadzał, zwłaszcza że miały charakter odwetu. Tatarzy i Turcy napadali chrześcjańskich słowian, Kozacy wzajemnie napadali Krym, a w Carogrodzie hulali sobie nieraz jak w otwartéj karczmie, prując wązkiemi czajkami (łodzie) grzbiet Czarnego morza, a spisami grzbiety muzułmanów.

Częścią w XVII a ostatecznie w XVIII wieku, cała Kozaczyzna rzeszła pod panowanie Rossji.

Dziś Kozacy stanowią osobny stan narodu, który jest obowiązany w oznaczonych terminach, tudzież na zawołanie, wystawiać pewną liczbę jeźdźców, tak dla obrony granic, jako też dla wewnętrznéj w państwie służby. Każdy rodzaj Kozaków ma własną ziemię i swój zarząd.

Pomiędzy Kozakami odznaczało się wielu teorbanistów. Teorbanista miał pośród ludu niemałe moralne znaczenie. Nazwa ich pochodzi od teorbanu, narzędzia muzycznego, na którem przygrywając, improwizowali lub powtarzali znane już albo całkiem nowe pieśni miłosne bohatyrskie lub okolicznościowe, stósownie do potrzeby albo też wewnętrznego swego usposobienia. Teorbanista nie miał jednéj stałéj siedziby, lecz chodził od miasta do miasta, od dworu do dworu, od wioski do wioski, grał, śpiewał i bawił muzyką i pieśnią, trącając melodją i słowem o najdelikatniejsze strony ich duszy. Wesele, żałoba, radość, zwycięztwo, wspomnienia znakomitych ludzi i czynów, wszystko to rzewny, poetyczny, najczęściéj stary i ślepy bard musiał oddać w idealnéj szacie wieszczego natchnienia. Czy to siadł na kamieniu przed chatą, czy stanął na progu pańskiego zamku, zaledwie dotknął się swego teorbanu, a już dzieci, starce, młodzież obojga płci i służba domowa, okrążali go dokoła i ciekawie nadstawiali ucha i słuchali pilnie odwiecznych rodzinnych podań o tatarskich bojach, o sławnych rycerzach, dzielnych mołojcach i czarnobrewych dziewicach. Aż oko pałało, aż dusza płakała, aż serce skakało ze wzruszeń.

Zasługuje tu jeszcze na wzmiankę taniec powszechnie znany pod nazwą *Kozaka*. Oskar Kolberg tak go opisuje: *Kozak*, taniec ruski, tańczony z wielkiem upodobaniem na Ukrainie i za Dnieprem w Malorossji, był dawniéj i w Polsce nader wziętym, tak na dworkach szlacheckich jak i u ludu. Prosta ale wyrazista jego melodja, zrazu powolniejsza, później szybsza, porusza się w takcie na $^2/_4$ z rytmicznym naciskiem na obie ćwierciowe; składa się czasami z dwóch części po 4 lub 8 taktów, czasami po 3 lub 6 taktów. Tańczony bywa we dwie osób, naprzeciwko siebie w dwóch końcach izby stojących. Tancerz, ująwszy się pod boki sam go rozpoczyna, w skokach lub podrygach zbliżając się do swojéj tancerki to prosto, to bokiem, to zakreślając półkole. Gdy się już do niéj zbliży, przytupuje przed nią kilkakrotnie (na co ona niekiedy równémże przytupnięciem odpowiada), a nie dotknąwszy nawet jéj rąk i nie odwróciwszy twarzy, w tenże sam sposób jak zaczął, odbywa cofając się w tył, wszyskie figury (lub jedną przez siebie obraną), dopóki nie powróci na miejsce z którego wyszedł. Wówczas (a nawet prędzéj jeszce) drogą tąż samą przebiega ze swego stanowiska ku niemu tancerka, trzymając się pod boki i naśladując ile możności jego ruchy. Poczem oboje już naprzeciwko siebie tańczą, coraz to żywsze robiąc poruszenia, nie już samemi nogami ale i całem ciałem. Rękami jednak nie splatają się wcale i w ogóle nie dotykają się siebie. Czasami każde z nich po kilka odbędzie kolei nim razem zatańczą. Częstokroć też stawa kobieta naprzeciwko kobiety lub mężczyzna naprzeciwko mężczyzny. Ten ostatni wypadek miewał szczególniéj miejsce u Zaporożców, gdzie nie było kobiet a tańczyć lubiano, naśladując w poskokach zrywaniach się, koziołkach, wyrzucaniach nóg i *prysiudach* (przysiadaniu się nogami aż do ziemi), jakoby napad nagły i zdradziecki na pohańca lub wroga. W tańcu tym przeważa zatem pierwiastek wojenny; należy do tańców samotnych, grotesków, w których siła, zręczność i winność przeważa i urabia się; cechuje go raczéj odurzenie, szał, niż szczera i wdzięczna wesołość. Przygrywa mu zwykle bandurka, bałabajka lub teorban.

Felicjan Kozłowski.

Marymont i jego okolice.

(Ciąg dalszy, patrz Nr. 42-gi).

W początkach 1819 roku czyli po 7 latach praktyki, Oczapowski przedsięwziął zamiar podróży naukowéj po Europie.

Powodowana dobrem ogólnem, chcąc przyjść w pomoc młodzieńcowi tak wielkich dla kraju nadziei b. Kommisja Rządowa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, tysiąc złotych w dniu 15 Lutego 1820 roku Oczapowskiemu na koszta podróży ofiaruje, zachęcając go do dalszych podróży, z uwagą, aby badał wszystko co tylko na drodze gospodarskich ulepszeń godnem zwrócenia swéj uwagi osądzi, mając przedewszystkiem na względzie stan i byt włościan zagranicznych, w celu zastósowania tego, co by uznał za dobre w rodzinnym kraju.

Skutkiem tego, Oczapowski odbywał podróż pieszo po Meklemburgu, Hanowerze, Holsztynie i Saksonji, a w téj ostatniéj szczególniéj badał postępy owczarstwa, zwiedzając i nieraz po kilka dni jako zamiłowany owcarz przebywając w owczarni. Następnie przez czas niejaki bawił w Instytucie leśnym w Tarancie i tu właśnie pozostając, odebrał wezwanie od b. Uniwersytetu Warszawskiego, aby przybywał do Warszawy w celu wykładania nauki gospodarstwa wiejskiego i jako professor nadzwyczajny uniwersytetu, od dnia 30 Listopada 1820 roku na tę godność powołany został. Lecz w pierwszych chwilach przyjęcia téj godności odmówił, mając zamiar jeszcze przez rok następny odbywać podróże gospodarskie, aby ukończyć dzieło rozpoczęte i poznawszy wszystko co tylko uwagę myślącego gospodarza na się zwrócić może, godnie odpowiedzieć położonéj ufności.

Jakoż, rzeczywiście w roku 1821 zwiedzał Instytut rolniczy pod kierunkiem sławnego autora Trautmana będący, połączony z katedrą gospodarstwa wiejskiego w Wiedniu; późniéj zawsze pieszo po gospodarsku, udał się do Berlina wraz z trzema towarzyszami podróży, pomiędzy którymi był Zienkowski polak, kosztem hrabiego Ordynata Zamojskiego razem z Oczapowskim w Möglinie kształcący się w rolnictwie. W Uniwersytecie Berlińskim Oczapowski słuchał kursów weterynarji, leśnictwa, technologji i innych nauk, potem zwiedzał wzorowe zakłady gospodarstwa wiejskiego w Prusach, Niemczech, Szwajcarji, Holandji, Anglji i Francji. Następnie miały miejsce namowy i zachęty ówczesnego Kuratora okręgu naukowego Wileńskiego, w skutek których za katedrę gospodarstwa wiejskiego Uniwersytetowi Warszawskiemu podziękował, a przyjął takowe we Wszechnicy Wileńskiéj i wykład agronomji rozpoczął, wydrukowawszy go w Dzienniku Wileńskim z 1823 roku.

Odtąd imię Oczapowskiego stało się głośnem i tak się splotło ze znaczeniem naszego rolnictwa, że Oczapowski stanowić będzie epokę świetną w literaturze rolniczéj, a żywot jego to okres rolniczy, on był bowiem świadkiem bytu dokonywających się u nas ulepszeń, on swojem piórem, radą nauczycielską i czynnym współudziałem, téj rodzinnéj niwie tak błogie zapewnił owoce.

Oceniły to liczne towarzystwa rolnicze, a przed innemi Towarzystwo Agronomiczne w Moskwie, wybierając Oczapowskiego na czynnego członka.

Nie będziemy tu wymieniać szeregu dzieł rolniczych jakie napisał Oczapowski, wspomnimy tylko, że należał jako czynny członek do wydawnictwa „Wiadomości brukowych Wileńskich.“ Tak silnie rozgałęziona działalność na drodze naukowéj, nie uwolniła Oczapowskiego od związków towarzyskich. Był on wszędzie upragnionym gościem, mile widziany w towarzystwach wyższego rzędu, w owem kółku uniwersyteckich rodzin, tam też uczuł on potrzebę związków rodzinnych i takowe zawarł, połączywszy się związkami małżeńskiemi z Michaliną Stubielewicz, córką professora b. Uniwersytetu Wileńskiego. W latach 1831 i 1832 trzymał w dzierżawie folwark uniwersytecki Świątniki, będąc zarazem delegowany do odbioru rachunków z administracji folwarku Zameczek, przeznaczonego na założyć się ówcześnie miany Instytut rolniczy.

W roku 1833 po zamknięciu uniwersytetu Wileńskiego, uwolniony został od obowiązków professora w tyże uniwersytecie, z pensją dożywotnią rocznie 500 rsr.

W następnym 1834 roku, Oczapowski przybył do Warszawy i w 1835 r. został Dyrektorem Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego w Marymoncie. Odtąd już imię jego i praca, zespoliły się z losami tego zakładu.

Wojciech Jastrzębowski, śmiało powiedzieć możemy, po Oczapowskim, największy wpływ wywierał na losy Instytutu Marymontskiego; był on ulubionym kierownikiem młodzieży, któréj nieograniczoną ufność posiadał. Jego wykład nauk przyrodzonych, był zarazem wykładem jak żyć w stosunkach obywatelskich należy, aby sobie pozyskać szacunek i zamożność. Nie dziw więc że do niego garnęła się młodzież i w nim widziała kierownika i przyjaciela, jak to już bliżéj pan Olszowski wykazał.

Bełza Józef, urodził się we wsi Masłowicach w powiecie Wieluńskiem w 1805 r. Rodzina jego wywodzi się z Krakowa. Początkowe nauki pobierał w szkole księży Pijarów w Piotrkowie, a ukończył je w Warszawie. Wyższe wykształcenie odebrał w b. Uniwersytecie Warszawskim, po którego ukończeniu stopień magistra filozofji, prawa i administracji otrzymał. W roku 1827 został adjunktem przy pracowni chemicznéj uniwersytetu Warszawskiego i nadzorującym robót chemicznych w szkole przygotowawczéj do Instytutu politechnicznego; po roku 1830, wykładał chemję, technologję i fizykę w klassach najwyższych gimnazjum Warszawskiego. Następnie z dniem otwarcia Instytutu gospodarstwa wiejskiego w Marymoncie w 1836 roku, został w nim professorem chemji i technologji, które to obowiązki do roku 1859 wypełniał. Wykład jego odznaczał się jasnością, a ścisła sprawiedliwość w ocenianiu zdolności uczniów, zjednywała mu powszechną sympatję.

W roku 1835 mianowany był członkiem b. Rady Lekarskiéj Królestwa Polskiego, a nieco późniéj należał czynnie do założenia b. Szkoły farmaceutycznéj w Warszawie, w któréj obowiązki professora chemji, fizyki i mineralogji aż do chwili zamknięcia tejże szkoły przez lat 17 pełnił bezpłatnie, a nadto przez lat 12 czynności biurowe téjże szkoły jako sekretarz również bezpłatnie załatwiał. Nie tu jest miejsce okazywać korzyści dla kraju, jakie w swym czasie szkoła farmaceutyczna, jako jedyny specjalny Instytut naukowy dobru ogólnemu przyniosła; ludzie miłujący swój kraj, tego jéj nigdy nie odmawiali, bo dosyć tylko nadmienić, że ten instytut dostar-

czył krajowi zdatnych krajowych aptekarzy, obecnie prawie we wszystkich jego okolicach się znajdujących, a przez to nie dopuścił napływu cudzoziemców, nieznających języka a niekiedy mało i rzeczy, co znów wielką szkodę nauce lekarskiej, a zatem i powszechności byłoby przyniosło.

Obecnie Józef Bełza jest emerytem, jako spadły z etatu Kommisarz Fabryk przy b. Kommisji Rządowéj Spraw Wewnętrznych.

Oprócz licznych artykułów zamieszczonych w Izydzie, Bibljotece Warszawskiéj i innych pismach czasowych, jest on autorem dobrych dzieł technicznych w zastósowaniu do gospodarstwa wiejskiego skreślonych. (*Dokończenie nastąpi*).

Wiadomości Techniczne.

— **Dobry kit żelazny** robi się z 5 części sproszkowanéj i dobrze wyschniętéj glinki, 1 części magnezji, ½ części soli morskiéj i ½ części boraxu; to wszystko należy dobrze wymięszać i utrzyć, następnie z wodą pomięszać o tyle, aby się z tego gęsta massa utworzyła, którą się natychmiast na gorąco używa. Kit ten opiera się tak wodzie jak i największemu gorącu. *J. P.*

ROZMAITOŚCI.

— **Wynajmowanie lokalów.** Kilkakrotnie już podejmowana myśl założenia w Warszawie kantoru informacyjnego najmu mieszkań i sklepów, została nareszcie wprowadzoną w wykonanie przez tutejsze biuro posłańców publicznych, które pragnąc i pod tym względem praktyczną użyteczność swoją uwydatnić, otworzyło nowe czynności swoje z dniem 1-m bieżącego miesiąca. Wprawdzie, jest to dopiero pierwsza połowa zadania, w której tylko sami właściciele domów mający lokale do wynajęcia, znajdują pomoc; lecz wiemy z pewnego źródła, że i druga połowa, ważniejsza jeszcze, mianowicie wydział dla lokatorów poszukujących mieszkań i sklepów, niebawem w życie wejdzie. Oglądaliśmy drukowane szematy, na których w odpowiednich paragrafach można zamieszczać wszelkie objaśnienia potrzebne dla wynajmujących lokale. Szemat taki, nabyty przez właściciela domu za 2½ kopiejki, wypełniony być powinien przez niego wszystkiemi pożądanemi dla lokatora wiadomościami, z dokładnym opisem lokalów, a nawet i podręcznym planikiem.

Lokatorowie poszukujący mieszkań, za opłatą w kantorze 10 kopiejek, będą mogli obejrzeć wszystkie szematy i wybierać między niemi najodpowiedniejsze swoim potrzebom i wymaganiom, bez mozolnego krzątania się po rozmaitych częściach miasta, które zawsze dla nich połączone jest z wielką stratą czasu i często z kosztem znacznie przewyższającym osiągnięte rezultaty. Rzeczywiście, myśl to bardzo pożyteczna. Oby tylko panowie właściciele domów skrupulatnie podawali wymagane wiadomości, przedstawiając w nich stan rzeczy taki, jaki rzeczywiście na miejscu istnieje. Zbawiennemby było, ależ to podobno tylko *pia desideria*, ażeby czystość, ciepło lub zimno i wilgoć, znalazły tam również swoją sumienną rubrykę.

— **Gazeta Kielecka.** Z dniem 19 Września (1 Października) r. b., przybyło nowe pismo do liczby naszych pism perodycznych p. t. *Gazeta Kielecka*, wydawane w mieście Kielcach, dwa razy tygodniowo, to jest w Niedzielę i Środę przez *Michała Goldhaar*, pod redakcją p. *Leona Gautier*. Obszerny program Gazety, obejmujący wszystkie przedmioty, jakie przez najwzięt sze czasopisma zwykle bywają traktowane, obok szczególnego względu na wszechstronne potrzeby miejscowe, zdaje się rokować i temu czwartemu z kolei pismu prowincjonalnemu dobre powodzenie, którego mu też całem sercem życzymy. Otrzymane dotąd w Warszawie Numera Gazety Kieleckiéj, świadczą nietylko o najlepszych chęciach wydawnictwa, ale i o troskliwem, sumiennem pełnieniu podjętéj przez radakcję pracy.

— **Ile wart nos człowieka?** Pytanie to zostało rozstrzygnięte i to sądownie, z wszelką formalnością: wartość ludzkiego nosa równa się 5,000 franków.

Pewien małżonek w południowéj Francji odwiedzał co niedziela swoją żonę i dzieci, mieszkające latem w poblizkiéj wiosce. Dorożkarz, który go woził, wjechał przez nieostróżność na kupę kamieni, dorożka się przewróciła i małżonek, poczciwy kramarz, złamał chrząstkę w nosie.

Wyleczono go wprawdzie z tego, ale nos przepadł! Oburzony poszedł do sądu i oskarżył dorożkarza. Sąd skazał obżałowanego na zapłacenie 1,000 franków tytułem wynagrodzenia szkody. Poszkodowanemu wydał się ten wyrok niesprawiedliwym i udał się do innego sądu. Adwokaci obu stron wystąpili w szranki. Obrońca dorożkarza twierdził: że w takim wieku, kiedy się jest małżonkiem i ojcem, nie ma już nos wielkiéj wartości, inna rzecz u młodzieńca, temu potrzeba piękności, ażeby mógł się dobrze ożenić, ale u starego małżonka to już mniejsza o nos.

Na to powstał rzecznik oskarżyciela dowodząc, że właśnie dla małżonka, a tem bardziéj starego, najważniejszą jest rzeczą mieć dobry nos i domagał się najwyższego wynagrodzenia szkody.

Sąd wziął rzecz pod rozwagę, i oświadczając się w końcu za zdaniem drugiego obrońcy, skazał dorożkarza na zapłacenie wyż wspomnionéj summy. Nos człowieka wart jest przeto 5,000 franków.

— **Zastósowanie praktyczne dziesięciorga przykazań Bożych.** Pewien chciwy kolonista, zakradł się do stodoły swego sąsiada po kapustę, gdzie, już wycięta leżała, a której niestety właściciel—nasz włościanin pilnował. Złodziéj ów o niczem niewiedząc, wziąwszy worek, zaczął w niego kłaść kapustę, licząc: jedna, druga, trzecia, czwarta, piąta, szósta..... następną zaś główkę odrzucił na bok rzekłszy: i siódme—niekradnij—i znów tak samo liczył, dopóki worka nienapełnił. Gdy chciał odchodzić, włościanin nasz, właściciel kapusty, wypadł z ukrycia, a ująwszy za kołnierz, zaczął kijem okładać licząc: jeden, dwa, trzy cztery, następnie kij odłożył na bok rzekłszy: piąte niezabijaj! — i tak ciągle powtarzał. Wreszcie po zadośćuczynieniu puścił złodzieja, który też korzystając ze sposobności uciekł ze stodoły i worek nowy postradał.

— **Jedwabnictwo.** Jakiego współczucia doznaje nasze jedwabnictwo krajowe, przekonywa następujące ogłoszenie b. Rady Głównéj Zakładów dobroczynnych z dnia 6 Października r. b. N 140—1: ,,Pragnąc z swéj strony, o ile można przyczynić się do rozwoju jedwabnictwa, które może korzystnie oddziałać i na dochody Zakładów Dobroczynnych, Rada Główna Opiekuńcza uczyniła gdzie należało stósowne wezwanie w celu podtrzymania tyle ważnéj i wielce u nas pożądanéj gałęzi przemysłu, jaką jest jedwabnictwo; o czem podaje do wiadomości, kogo to dotyczeć może, za nim wezwanie powyższe właściwą drogą dojdzie.''

— **Czego miłość niedokaże.** Frére-Orban, dzisiejszy minister Belgijski, jest synem biednego odźwiernego, który się nazywał Frère. Teraźniejszy mąż stanu już skończył szkoły i miał zdawać tak zwane rigorosum, gdy pokochał piękną i dobrą panienkę, córkę jednéj z nabogatszych rodzin w Bruxelli i postanowił prosić rodziców o jéj rękę.

Odmówiono mu jéj, ale kochanka rzekła:

— Dzisiaj masz pan zdawać egzamen, jeżeli go zdasz, o czem

zresztą nie wątpię, przyjdź do teatru i każ sobie otworzyć lożę moich rodziców. Za miesiąc będę pańską żoną.

A Rodzice?

Zaufaj mi Pan i zrób co ci radzę.

Tego samego wieczora teatr był przepełniony widzami, kiedy pan Frère wszedł do loży swéj ukochanéj, która nienamyślając się chwili, rzuciła się nowemu adwokatowi w objęcia.

W miesiąc potem p. Frère ożenił się z panną Orban i przybrał nazwisko Frère-Orban.

— **Zabawne rozczarowanie**, spotkało niedawno w Berlinie, jednego z wielbicieli „sztuk pięknych.“ Jedzie dorożką i spotrzegłszy przechodzącą śpiewaczkę panię Lucca, wychyla głowę, żeby ją lepiej widzieć! Ależ o dziwo! Pani Lucca daje mu znak oczami, potem ręką, lecz nie był jeszcze pewnym, czy to do niego się odnosi, lubo miłość własna mocno w nim połechtaną była. Ale p. Lucca widząc, że dorożka mija, psyka na jadącego wielbiciela swego. Ten wyskakuje nagle z dorożki, staje przed śpiewaczką i pyta, co rozkaże, gotów jest bowiem. ... „Daruj pan, rzecze śpiewaczka berlińskiem narzeczem, kiwałam na woźnicę bo zgubił derkę.“

— **Karmienie dzieci przez matki.** Pan E. Decaisne czytał na jednem z posiedzeń akademji nauk w Paryżu, uwagi swe o karmieniu dzieci przez matki. Z tych wynika, 1. że karmienie jest w związku z poprzedzającemi je fenomenami, jest nieodłącznym skutkiem ich i bezkarnie nie może być usuniętem. 2. Wielka liczba spostrzeżeń dowodzi, że matka nie karmiąca własnego dziecięcia, skłonniejsza jest do zapaleń, słabości chronicznych, raka i t. p. 3. W wielu wypadkach anemji, chlorozy i tak zwanéj delikatnéj konstytucji, lekarz zamiast bronić karmienia, powinien je zalecać raczéj, bo ono przyczynia się do uporządkowania wszystkich funkcji organizmu. 4. Wypadki w którychby kobieta nie mogła karmić dziecięcia, są bardzo rzadkie, nawet pomiędzy kobietami miejskiemi. Dla własnego dziecięcia nie wymaga się od matki zbyt wielkich sił i zdrowia, gdy od mamki powinno się daleko więcéj żądać. Tak medycyna przychodzi w pomoc moralnym pobudkom, które skłonić powinny do spełnienia macierzyńskiego obowiązku. U nas już w XVII wieku Klonowicz poprzedził innych lekarzy i moralistów, dopominających się o to, by matki same dzieci swoje karmiły.

— **Dwunożne kozły.** W Nowym Jorku znajduje się zewnątrz na giełdzie pieniężnej tarcza zegarowa, na któréj wskazywane bywają co minutę zmiany ażja. Codziennie tedy widzieć można naprzeciw tego złotego zegara na ulicy kupkę „mniejszych“ spekulantów giełdowych, którzy nie mają z czego opłacać taks wysokich, pobieranych za wstęp na giełdzie. Spekulują oni więc na mniejszą skalę, a to w ten sposób, że zakładają się o każde poruszenie złotej skazówki aż do summy 5 dolarów. Wyższe zakłady są wykluczone. Zysk i stratę zapisują do księgi, a przy zamknięciu téj osobliwszéj giełdy ulicznéj, następuje obrachunek. Kto do godziny trzeciéj tego samego dnia nie zapłaci przegranéj kwoty, tego wykluczają zaraz z owéj giełdy ulicznéj i nie wolno mu grać potem przez cały rok. Tym to spekulantom nadano imię *Kozłów*, a to dla tego, ponieważ poruszenia ich głów, podnoszących się co chwila i spuszczających napowrót dla obserwowania zegara i notowania zmian ażja, podobne są całkiem do bodzenia kozła.

— **Przyjaciele i nieprzyjaciele jaskółek.** Jaskółki, jak wiele innych zwierząt, miały przyjaciół i przeciwników, jak wróble, krety i ropuchy, zostały zrehabilitowane stanowczo. Jeden z obrońców jaskółek p. Victor Châtel, już się wahał przyznać, czy czasem jaskółka nie wypija tyle ziarn i nie zjada tyle owoców, że wyjadanie robaków przez nią, nie zapłaci téj szkody, gdy pracowity badacz profesor Giebel w Halli, rozbiorem żołądków 73 jaskółek młodych, w przeciągu czasu od 18 Kwietnia do 24 Czerwca dowiódł, iż z nich 46 karmiło się wyłącznie robaczkami, pająkami, muchami. a tylko 7 pestkami owoców i t. p. Reszta żyła i jednemi i drugiemi. Rozbiór 46 jaskółek starych, wykazał ten sam stosunek; trzy żyły owocami, inne robaczkami.

HUMORESKA.



(Na ulicy).

Przechodzień. A cóż.... Kurjer Świąteczny?
Roznosiciel. Nie ma jeszcze Panie, ale za pół godziny będzie zrobiony.
Przechodzień. Powinniście się spieszyć. Publiczność czeka niecierpliwie. Przecież to pismo tak *kwitnące*, tak upragnione w każdym domu, gdzie są dorastające dzieci.
Roznosiciel. Słabuje teraz na prawdę i nie wiem, czy na wiosnę będzie tak pięknie *kwitło* jak dawniéj.
Przechodzień. Dla czego?
Roznosiciel. Bo choruje teraz na zgryźliwość i zły humor.
Przechodzień. Pleciesz!
Roznosiciel. Dalibóg, Panie; od jesieni, jak mu jakaś tam *mucha* wnos wlazła.....
Przechodzień. Dobrze, dobrze.... Rozumiem.... Bądź zdrów.

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою. — **Redaktor**, Stanisławski Oskar.

Drukiem Jana Psurskiego, ulica Niecała Nr. 12 nowy.